

SPACER PO LUBLINIE

(REPORTAZ Z WAGA RÓW WIOSENNYCH)

Pewnego, pięknego, wiosenne-go poranku popełniłem przestępstwo zupełnie zrozumiałe, naturalne, bardzo częste o tej porze roku. Zwagarowałem. Gdy na dworku szaleje wiosna, gdy niebo jest tak przejrzyste, lazurowe i bezgraniczne jak w známym tangu i kiedy niby miecz Demoklesa wisi nad tobą pała z chemii — jest to odruch zwykły i zupełnie naturalny. Z spostrzeżeń, wrażeń i nastrojów jakim na wagarach tych uległem — powstał reportaż poniższy.

Idę uśmiechnięty, bez żadnych wyrzutów sumienia, wpatrzony w przejrzyste niebo wiosenne, lechtany lekkim wietrzykiem. Tutaj na zabudowanej rzadko i niskimi domkami, otoczonej sadami i wogóle wieś wyglądem przypominającej „rodzinnej mojej uliczce” — szczególnie wyraźnie występują oznaki wiosny.

Po dwóch minutach milej drogi staję na pełnym gwaru i zgłębku ulicy Lubartowskiej — głównej arterii dzielnicy żydowskiej.

Pomimo wczesnej pory panuje tu już ruch ożywiony. Mijają mnie wciąż spieszący do swych zajęć przechodnie, służące i gospoście z koszami, przejeżdżni chłopcy oraz bardzo o tej porze liczne dzieci i młodzież niekoniecznie — podobnie jak i ja zresztą — do szkół szących. Raz po raz przejeżdżają po brukowanej fatalnie jezdni olbrzymie wozy ciężarowe i furmanki chłopskie. Za mostem przerzuconym nad płytką, wątpliwej przejrzystości rzeczulką — Czechówką, ciągnie się handlowa część ulicy Lubartowskiej. Otwierają się tu już liczne sklepy spożywcze, sadówki, księgarnie, sklepy galanteryjne oraz poważniejsze: składy towarów białych, szkła i porcelany, wyrobów żelaznych...

Na tej zamkniętej z boków starymi, dwupiętrowymi domami ulicy, pełnej już zgłębku handlowego, trudno doprawdy

doszukać się piękna wiosny lub choćby jej najzwyklejszych przejawów. A jednak istnieją. Istnieją nie w naturze, nie w zieleni pól czy błękitnie niebios, ale w rzeczy najistotniejszej — w wyrazie twarzy ludzkiej. Wystarczy spojrzeć w rozjaśnione uśmiechem twarze przechodniów, usłyszeć ich lekkie pogodne rozmówki, zauważyć pełne energii i swobody ruchy...

Nieopodal starej, zgrzybiałej sprzedawczynie gazet stoi grupa tragarzy, zaczytanych w najświeższych wiadomościach z gazet. Właściwie tylko jeden z nich donośnym głosem, powoli czyta, a reszta zapytuje:

— Czy jeszcze się rządowcy trzymają? Co z Chinami? Kogo teraz Staliu sprząta?

Po czytaniu następuje ożywiona, choć dość naiwna dyskusja.

Skręcam w ulicę sto - Duska. Przez labirynt straganów t. zw. targu polskiego wydostaję się na główną, reprezentacyjną ulicę Lublina — Krakowskie Przedmieście.

Taką jaką jest ta ulica w obecnej chwili — oglądam po raz pierwszy. Nic dziwnego. Przywykłem widzieć ją stale po południu czy wieczorem, tętniącą życiem wielkiego miasta... W tej chwili panuje tu jeszcze cisza wczesnej pory. Wpadają w oczy spuszczone żaluzje i założone sztaby wszystkich prawie sklepów. Dziwnie blade wyglądają reklamy i szyldy sklepów, nieoświetlone światłem neonów. Zdała widnieją barwne pękate słupy ogłoszeniowe, afisze i fotosy kin. Przejeżdżają wyłącznie niemal niebieskie i czerwone, eleganckie, wypuszczone niedawno z garażu — autobusy miejskie. Jedynymi prawie przechodniami jest młodzież szkolna, gimnaziści. Wiosna wyległa na tej martwej, nieruchwej o tej porze ulicy, zyskała na rzeźkości, lecz straciła na barwie; zbladła, zszarzała, przyszała.

Zatrzymuję się przy wysokim czarnym obelisku — pomniku

Unii Lubelskiej. Wytłoczone w złotej blasze symboliczne postacie Korony i Litwy podają tu sobie dłonie w braterskim uścisku zgodnie z prawdą historyczną i kto wie, być może zgodnie z prawdą niedalekiej przyszłości. Widzę, jak uczniowie kłaniają się profesorom i przypominam sobie, że tu przecież mogę spotkać się z belfrem naszej szkoły. Uciekam w krótką boczną ulicę Kościuszki.

Przed redakcją organu tu-tejszych endeków — „Głosu Lubelskiego” stoi grupka przechodniów. Z zadrukowanych płacht drą się kłamliwe, obrzydliwe podżegawcze nagłówki. Pochłaniają je jacyś dwaj gimnaziści, stara kobieta, robotnik i dwaj — z teczek sądząc — urzędnicy. Czytają szybko, łapczywie, z przejęciem. Jasnym staje się, że stąd czerpią oni często swe wiadomości o Żydach, że wierzą wydrukowanym tutaj słowom, że wraz z tym siłą rzeczy budzi się w nich nienawiść do Żydów i wszystkiego co żydowskie.

Po upływie piętnastu minut wychodzę odważnie znów na Krakowskie Przedmieście. Im dalej, tym domy stają się wyższe i ładniejsze. Przy końcu ulicy dostaję się do nęcącego zielenią celu moich wagarów — Parku Saskiego. Tutaj wśród rozległych trawników i olbrzymich drzew, panuje wszechwładnie prawdziwa wiosna.

Nieopodal szemrzącej cicho fontanny, w cieniu stojącej tu od lat kawiarenki, dostrzegam nagle mego bliskiego kolegę. Następuje gorące, serdeczne przywitanie. Dwaj przestępcy, którzy, każdy z osobna sądzili że popełnili wielkie, wyjątkowe przestępstwo — spotkali się, zmniejszając równocześnie winę do połowy i postanowili razem rozkoszować się zdobytym łupem — swobodą.

Jego skłoniła do wagarowania groźna łacina, mnie jak wiadomo — chemia, a nas obu i

sądzą setki, ba, tysiące innych — wiosna. Park wcale nie jest pusty. Mijamy grupki „uczące się” młodzieży, dozorców, jakąś nianię zaczytaną w ostatnim zeszytzie „Wygnaanej w noc poślubną” i zasiadamy na ustronnej ławeczce.

Wartko toczy się rozmowa. Od naszych zwykłych codziennych spraw przechodzimy do tematów ogólniejszych, jak sport, film i co słycać na szerokim świecie.

Czas mija szybko. Park zapelnia się powoli. Najpierw starszuszki, jakies freblówki na wybiegach, a później zwykli, spragnieni ciszy i uroku natury przechodnie. Robi się nam gorąco. Możemy się tu spotkać ze znajomymi rodziców lub starszego rodzeństwa.

Z prawdziwym żalem przechodzimy przez bramę wyjściową parku. Przed nami rozciąga się teraz rozległa perspektywa długich, ciągnących się idealnie niemal równą linią i niłkających aż przy horyzoncie — Alei Racławickich. Miła to, pełna swoistego czaru ulica jest ulubionym miejscem spacerów.

Mówimy o życiu i potrzebach Lublina, o jego rozbudowie. Temat ten nasuwa nam samo otoczenie. Ta podmiejska dzielnica — to właśnie teren przyszłych budowli, domów, ulic, mających powiększyć obszar Lublina i stanowić jego piękną, nowoczesnie zabudowaną dzielnicę. Jako zaczątek realizacji tych, powiedzmy dość ambitnych i odległych planów wznoszą się tutaj gmachy Domu Żołnierza, Uniwersytetu Katolickiego, gimn. im. Staszica i Szkoły Budownictwa. W oddali widnieją liczne domki wojskowych, otoczone ogródkami.

(Dokończenie nastąpi)



SPACER PO LUBLINIE

(Dokończenie)

Przechodzimy z jednego chodnika na drugi, czytamy rozlepione na murach i słupach afisze, oglądamy fotosy kin, sprzeczmamy się o filmy, aktorów...

Obok strzelistego budynku magistratu wznosi się olbrzymia masywna, pełna powagi — Brama Krakowska. Jest ona dla Lublina tym samym, co dla Japonii — Fudzi — Jama czy dla Paryża — Wieża Eiffla — charakterystycznym dla niego motywem, symbolem.

Brama Krakowska składa się z części murów, otaczających niegdyś dawny Lublin i szerokiej, wysokiej wieży z dzwonnicy i wielkim zegarem. Stąd to cztery razy dziennie otrąbia się godziny ósme i dwunaste.

Brama Krakowska pamięta dawne bardzo dawne czasy, gdy na miejscu obecnego Krakowskiego Przedmieścia ciągnęły się rozległe błonia, a ona sama stanowiła główną wjazdową bramę w fortyfikacjach średniowiecznego miasta. Teraz znajduje się ona w centrum miasta, a z murów obronnych pozostały wąskie t. zw. podgrodowe uliczki i zaułki. W wyglądzie Krakowskiej Bramy tkwi cała powaga, dostojność i majestat Lublina — majestat miasta, które istniało już i rozwijało się, gdy nikomu nie śniło się jeszcze o Warszawie.

W dawnych murach obronnych czerni się wielki, półokrągły otwór — właściwie brama. Przez nią wydostajemy się na lubelskie Stare Miasto, forum pamiątek przeszłości Lublina i zabytków historycznych. Zabytki historyczne... doprawdy możnaby napisać o nich obszerną monografię. Napotyka się na nie co krok niemal. Oto kościół, w którym zaprzysiężono Unię Lubelską, wielka katedra z Bramą Trynitarą, zamek obronny, jakby wyjęty z książki Waltera Scotta — dawniej rezydencja królewska, obecnie więzienie; stary gmach Trybunału i wiele, wiele innych. Panuje tu wszędy władnie styl ponurego średniowiecza — wysmukły, strzelisty gotyk.

Tchnie tu po prostu średniowieczem. Nie trzeba wiele fantazji, by wyobrazić sobie, że z za węgła domu wyjdzie nagle grupa halabardników, że na podwórzu przed kruzgankiem zawrze nagle turniej rycerski.

Na tym terenie średniowiecznego Lublina prowadzi się obecnie żywą akcję zachowania

wszelkich pamiątek przeszłości. Więc robi się wykopaliska, zeskrobuje się z fasad tynki, konserwuje się wszelkie rzeźby i napisy, a nawet dla zupełnego przywrócenia dawnego wyglądu — maluje się fasady domów barwnymi kolorami. Słowem kwitnie tu kult przeszłości. Niestety, co się we wszystkich wielkich miastach zdarza — wraz z tym kwitnie tu również nędza. Objawia się ona w bladych twarzach i ubogiej odzieży nieszczęśliwców starych ruder, w brudzie wąskich uliczek...

Biegając w dół ulicą Grodzką dostajemy się do będącej już niemal w ruinach t. zw. Czerwonej Bramy. Za nią znajduje się żydowska część Starego Miasta. Trafiliśmy właśnie na moment największego nasilenia tej dzielnicy. Na kilku ulicach pełnych sklepów spożywczych, piekarni, jatek i sprzedawców ulicznych odbywa się wielki targ. Fury nie mogą poruszać się swobodnie w zalegającym jezdni, zbitym tłumie kupujących kobiet, sprzedawcy urządzają sobie konkursy zachwalania towarów, kupcy targują się zawzięcie z opornymi klientami.

— Mam wrażenie, jakbyśmy byli angielskimi turystami, zapuszczającymi się w zaułki arabskiej dzielnicy Algieru — określa nasze uczucie mój towarzysz. Wśród tego obrazu zgiełku handlowego i nędzy wznosi się piękna, o wspaniałej architekturze t. zw. Wielka Synagoga — obok sławnego w całej Polsce Jeszybotu lubelskiego, najświetniejszy gmach w dzielnicy żydowskiej Lublina.

Wydostajemy się teraz na wielki Plac Targowy. Sprzedawcami są tutaj przyjezdni chłopcy. Sprzedaż odbywa się bardzo prymitywnie — przy rozłożonych na ziemi płachtach z jarzynami i produktami wiejskimi. Projektuje się wybudowanie tu wielkich hal targowych, które mają ująć ruch handlowy tej dzielnicy w normy nowoczesnego handlu.

Naprzeciw miejsca zetknięcia się targu z ul. Lubartowską ciągnie się w górę moja rodzinna uliczka — Probostwo.

Żegnam kolegę i jak zrana, idę powoli, uśmiechnięty, bez żadnych wyrzutów sumienia... Za mną tam na dole, pozostaje kipiące gorączkowym życiem popołudnia miasto — Lublin.

H. DAJCZER.